

W Szczecińskiej Stoczni Remontowej panuje zawsze duży ruch.
Fot. — CAF

Jest w „Głosie Szczecińskim” rubryka DZIEN PORTU. Nie wielka, w ramce, sprawozdawca zwykle donosi: dzisiaj do portu wejdą: norweski „Wingaren” — z mozambickim tytoniem, holenderski „Tinda” — z mączką ziemniaczaną... Wyjda z portu: „Li-wiec” — z drobnicą dla Anglii, norweski „Metri” — z czeskosłowackim olejem dla Holandii, „Malbork” i „Kolno” — z węglem dla Danii... Wczoraj przebywało w porcie 27 statków o łącznej nośności 38 000 ton.

To taka szczecińska „kronika towarzyska”, powitalny gest gościnności. Kiedyś też podobne kroniki drukowano, tyle że treść ich była odmienna: dzisiaj do naszego miasta przybył baron Artur Z. z małżonką; w hotelu „Continental” zatrzymał się przybyły z Berlina dyrektor koncernu X — pan dr L...

Dawne to czasy, po których ledwie widoczne pozostały ślady. O takich to w sprawozdaniu z procesu przeciw Kipperowi i Scharbatce z Kirchendienst Ost pisał „Głos Szczeciński”: „Spadkobiercy pruskiego szowinizmu”! I może nie byłoby sensu nawet o tym tu wspominać, gdyby nie ich hitlerowski protektorzy z NRF, którym śni się nadal „Deutschland ueber alles”.

Wymiarowi sprawiedliwości pozostawimy ocenę antypolskich czynów Kipperera et company — szczerbiecinianie zaczynają czytać swoją gazetę od portowej rubryki. Nie z kurtuazji, lecz z potrzeby własnej, z zainteresowania. Miasto żyje, przecież morzem. Z morza żyje nowe pokolenie, któremu w metryce wpisano miejsce urodzenia — Szczecin, zawód ojca — marynarz, czy stocznikowiec, lub rybak, może robotnik portowy.

23 lata to nawet nie ćwierćwiecze, tyle że różnie przymierzane, różne daje porównania. Spójrzmy na okiem tych, którzy w porcie szczecińskim zeszli na nabrzeże w kwietniu 1946 roku. Było ich 800 — repatriantów ze wschodu. Przypłynęli „Posejdonem”, pierwszym statkiem otwierającym rejestr portowych klientów. Zmęczeni morską chorobą, szczęśliwi że wreszcie mają ziemię pod stopami, nawet nie dostrzegli bezmiaru zniszczeń i bez nadziei pustki. Niejeden złorzeczył morzu i nigdy nie sadził, że pozostanie tu na zawsze. Nie sadził też, że będzie się kiedyś chełpił por-tem, jak własnym.

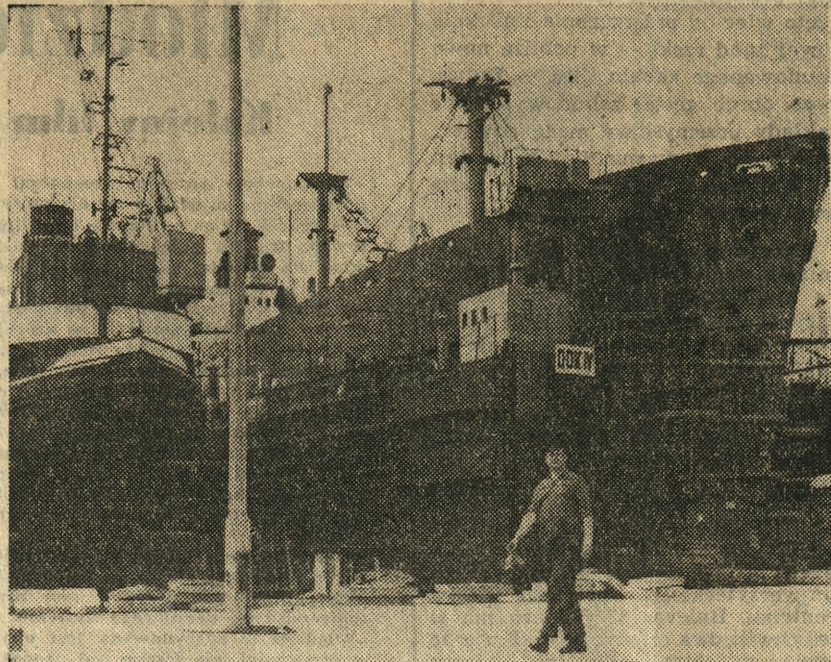
— 30 bander, proszę pana. Z Pakistanu, Japonii, Haiti, Panamy... 5400 statków tylko w ubiegłym roku. I to nie były jakich, po 10, 15 tysięcy ton nośności...

— Szczecin—Swinoujście — bo tak trzeba określić nasz port — przeładował w 1967 roku — ni mniej ni więcej tylko 11,6 mln ton towarów. To jest kolos, jeden z większych w Europie...

Ale ten kolos zbliża się do kresu aktualnych możliwości. Jeszcze milion, jeszcze dwa miliony ton... Potrzeby polskiej gospodarki tymczasem rosną. Rośnie też wyporność statków. Obok więc doskonałości nabrzeży szczecińskich, trwa robota Swinoujścia. Kończy się montowanie francuskich urządzeń ładunkowych o wydajności 1000 ton na godzinę, budowę magazynów, chłodni, basenów.

Tu będzie się udzielać gościny na wet 35-tysięcznikom, przy których maleńkie, przedwojenne stateczki — a takie w większości zawiąły do Szczecina — byłyby karzełkami. Ci z Polskiej Żegludki Morskiej wspominają początek inaczey. Zaczynali przecież w 1951 roku, z flota mizeriutka. 18 jednostek pływających dano im we władanie, a liczone na 46 000 ton nośności. Mało, ale i tak — kto lubi porównania — stanowiło to jedną trzecią całej polskiej przedwojennej floty handlowej Pol-ki (129 tys. ton).

Kreśliła się PZM po Bałtyku, czasem gdzieś dalej słała swoje łajby i przez lat parę sposobila się do przyjęcia ostrogów wielkiego armatora. Nie na darmo, bowiem dzisiaj mapę świata z napisem „linia PZM



Zbigniew Mika

SZCZECINA MILIONY TON

kreśli siatka gesta, że trudno się la-ikowi rozeznac, gdzie to nasi nie pływają.

700 000 ton nośności liczą już statki PZM-u, a za trzy lata przybędzie dalsze 300 000 ton. W ubiegłym roku powierzono temu armatorowi (jed-nemu z największych w Europie) 10 milionów ton ładunków.

Czymżeż jednak byłaby PZM bez stoczni? Własnej, polskiej stoczni?

ność — jak widać — nad wyraz przedsiębiorcza. Stworzyła w lat dwadzieścia i parę rzeczy wielkie, na miarę pokoleń i dzisiaj, sumując dorobek, nowe snuje plany.

A to w chemii kombinatem w Po-licach chcą robić karierę; to znowu budową wytwórni aparatury pra-gną przodować w elektronice. Radzi by także Zakłady Włókien Sztucz-nych rozbudować, zwiększyć pro-dukcję wytwórni „Kabel”, rozwi-nać fabrykę pa-pieru... Rosną no we osiedla mieszkaniowe: Grun-

waldzkie, Piastowskie, Śródmiej-skie, kreśla się plany osiedla—Wzgó-rze Hetmańskie i Żelechowo. Tysią-ce nowych izb...

Szczecin — to rozmach. Szczecin w granicach Polski jest „skazany” na wielkość, tak jak kiedyś nim za-czał znowu służyć naszemu narodo-wi — był skazany na stagnację.

W zęszczonych ciemnościach toczy-ły się walki. Walki karaluchów, myszy, szczurów. Słychać było wy-raźne piski i zaciekle zgrzytania zębów. A idea wieczoru była wal-ka z okupantem.

Leżeliśmy obok siebie, sufitu piwnicy dotykały po zewnętrznej stronie — nóżki, nóżki saren, zajęcy, dzikich królików, jak by opukiwały po cichu nasze piersi, szu-kając choroby. Tak zasnęłam, a w nocy obudziłem się nagle — możliwe, że wła-snie cisza mnie obudziła.

— Nie śpisz — powiedziała Marta.

— A ty?

— W tej chwili się obudziłem.

Ktoś zastukał do drzwi. Nasłuchiwa-łmy chwilę. Ogień wygasł w piecu, zro-biło się zimno. Mar-ta przycisnęła się do mnie, aby się za-grzać. Nie mogliśmy jednak już zasnąć. Przez ścianę piwnicy dochodziły jakieś dalekie hu-ki.

— Masz przyspie-szone tętno ser-ca.

Zasnęła przytulona do mnie. Rano znowu było słońce, świeciło ca-ły dzień. Widzieliśmy przez szparę uchylonych drzwi. Siedzieliśmy na przy-czy.

— ... Nawet nie wiemy, kiedy i co nas zmienia. Szybko przestaliśmy być dzieć-mi. Gdy przyszedł do nas, żyłam jesz-cze w dzieciństwie. Coś się we mnie sta-ło, nawet nie zauważyłam kiedy. Jestem dorosła, mam inne strapienia niż przed rokiem, to nie jest frazes, choć tak to mo-że zabrzmiało. Jesteśmy przedwcześnie dojrzali, w tym prostym, w czystym tego słowa znaczeniu. Ten czas wojny, te dni i noce — są naszym życiem, zupełnie już ukształtowanym, całkowicie skończonym obrazem, odbijającym w naszych du-szach — rzeczywistość. Resztę życia mo-żna by już odgadnąć, wszystko, co bę-dzie potem, po wojnie, nie będzie takie ważne. Zresztą nie wiemy, co jeszcze nas czeka. Zresztą nie chcę wiedzieć, bo ta noc dzisiejsza jest mi najbliższa, swoją samotnością i ogromnym lękiem o nas, o siebie i o ciebie. Tak jakoś mi się to

Wołciech Burtowy

Fachowcy bez skazy

Fachowcami ze skazą” nazwa-no w „Sztandarze Mło-dych” ludzi, którzy w szkołach i uczelniach nau-czyli się określonego za-celowania i bezpieczeństwa. Z codzien-nej praktyki wiadomo, że skaza ta powoduje nieprzeliczone straty, bo zdrowie i życie ludzkie są wartościami nieprzelicznymi. Na problem „fachowców ze skazą” zwrócono u-wagę w dyskusji poprzedzającej IV Krajowy Zjazd ZMS i w przedzjad-owych tezach umieszczono hasło: „ZMS-owiec fachowcem bez skazy”.

O ile jednak formuła „fachowiec ze skazą” brzmi w tym kontekście jednoznacznie, o tyle jej przeciwieństwo — „fachowiec bez skazy” — stwarza szerokie możliwości inter-pretacyjne. O taką najszerszą inter-pretację pokusili się ZMS-owcy wielkopolscy.

Powiedzieć o kimś: „fachowiec bez skazy”, to wydać najwyższą ocenę jego przydatności zawodowej, a więc — w dużej mierze — ocenę przydatności dla społeczeństwa. Zimny profesjonalista, wykonujący ze sprawnością automatu swoje obo-wiązki, bez świadomości, że każda jego czynność jest formą społeczne-go zaangażowania, nie przystaje do socjalistycznego modelu człowieka pracy. W tym rozumieniu hasło wy-nacza więc pewien wzorzec osobo-wości.

Można „mieć posadę” albo „upra-wiać zawód”. Nie chodzi w tym roz-różnieniu o językową pedanterię — obydwą zwroty kryją zupełnie od-mienne warstwy znaczeniowe. Po-siadanie „posady” wiąże się z wybo-rem jak największego zysku, albo — w innym wariancie — maksymalnej wygody. Gdyby więc inżynier — specjalista od elektroniki po otrzy-maniu spadku założył, z intencją podwojenia swoich dochodów, war-sztać produkujący guziki, to zre-zygnowałby z „uprawiania zawodu” na rzecz jak najwygodniejszego urzędowania się (aby uniknąć niepo-rozumień: przykład ten w niczym nie dyskredytuje rzemieślnika wy-rabiającego guziki, bo i on może „uprawiać zawód”). Nie potrzebna tu zresztą egzemplifikacja tak ja-skrawa i raczej abstrakcyjna — wy-

starczy wspomnieć tych młodych agronomów (na szczęście coraz mniej licznych), którzy z radością przyjeżdżali nie wymagający specjali-tycznego przygotowania etat kan-celaryjni, byle tylko pozostać w mieście. Traktowanie pracy jedynie jako źródła zarobku, dążenie do mi-nimalnego wysiłku, obojętność wo-bec własnych zamiłowań i uzdolnień — składają się na obraz „człowieka na posadzie”.

„Uprawianie zawodu” to działal-ność charakteryzująca się przede wszystkim troską o produkt i meto-dy pracy. Z trosk rodzi się rzetelna pasja, która z kolei wyzwala przed-sięwziętość, pomysłowość, nowator-stwo. W takim układzie stosunków wytwórczych, jaki panuje w na-szym ustroju, troski o produkt i me-tody pracy wyznaczają stopień spo-łecznego zaangażowania.

Tak rozwinięte hasło stwarza bo-dziec do wielkiej akcji wychowaw-czej. W elementarzu „fachowca bez skazy” muszą znaleźć się takie sło-wa jak: dyscyplina, jakość, wydaj-ność, bezpieczeństwo, oszczędność, kwalifikacje. „Fachowiec bez skazy” zdaje sobie sprawę, że działa w ze-spole, a zespół ten znowu jest czę-ścią składową większego organizmu, stąd szeroko pojęty obowiązek współgospodarzenia.

Łatwo postawić zarzut, że akcja ma wyłącznie walory transparento-we i w całości sprowadza się do wy-myślenia nowego sloganu. Przecież w prowadzonym od dawna współ-zawodnictwie stawia się uczestni-kom identyczne wymagania, są tur-nieje młodych mistrzów techniki, patronaty, uniwersytety robotnicze...

Byłoby to zarzut niecelny. Hasło: „ZMS-owiec fachowcem bez ska-zy” odwołuje się bardziej niż jakie-kolwiek inne do osobistej etyki jed-nostki. Obejmuje młodzież pracu-jącą i uczącą się, bo w toku nauki uzyskuje się podstawy „fachowca bez skazy”. Jest i w tym bardziej powszechne, że w założeniu współ-zawodnictwa tkwi podział na lep-szych, gorszych i tych, którzy w ogóle w nim nie uczestniczą. Fa-chowcem bez skazy może być każdy i każdy winien uważać to za swój obywatelski obowiązek.

Gerard Górnicki

Sen o miłości

Gdzieś z błękitu spadł warkot samolotu. Niedopalone ściany domu pokrył śnieg. Pod nogami chrzęściło szkło z rozbitych szyb. Odwróciłem głowę, aby spojrzeć na naszą piwnicę, zobaczyć złocistą twarz Marty, jej zaleknione oczy, oświetlone z boku przez promień słońca.

— Wyglądasz jak pierwsza chrześcijan-ka w katakumbach. Jesteś cudowna.

Błądłem przez nic nie znaczące zwal-ska domu, przez jego roznieglizowane wne-trze, które było bez treści, przemiesza-ne ze szczątkami mebli, obrazów, szmat. Błądłem przez śnieg, skrajem drogi, w stronę cmentarza. Na krańcu lasu zo-baczyłem człowieka, potem drugiego. Stali w cieniu drzew o twarzach niewi-docznych. Zrozumiałem, że nie należało wychodzić poza obręb wilgotnych, ciem-nych ścian naszego schronu, że byliśmy ubezwłasnowolnieni, otoczeni zbrojnym ramie-niem naszych ludzi. Nieco zawstydzony, zawróciłem z drogi, mój cień pelzył u mo-

jej nogi, mimo silnej pokusy nie odwróci-łem głowy, patrzyłem pod moje nogi na mój cień, słuchałem, jak na mrozie skrzy-piały moje ciężkie buty, innego cienia za sobą nie czulem. Dopiero, gdy grad kul chlusnął w moją stronę z niemieckie-go samochodu pancernego, wynurzające go się zza zakrętu drogi, znikł i mój cień, rzuciłem się do przydrożnego rowu w głą-boki śnieg.

Nad głową zawisła mi złota gwiazda świetlnej rakiety, zaczęła powoli opadać na moje oczy. Nie myślałem o stadach kul, które ze świstem przelatowały nade mną, śledziłem każde drgnięcie ruchome-go światła, urzekano mnie i przerażało, aż w końcu zgłasło. Twarz zanurzyłem w ramiona. Znalazłem się w samym środku walki.

Bezużyteczny, przegwożdżony do ziemi, jakby we wnętrzu maszyny, która lada mo-ment obróci mną, postawi na głowie, zganie, zmiażdży, zetrze na pył. Tkwie-m w puszystym śniegu skurczony do maksimum, przy-mykając oczy w o-czekiwaniu na cios.

Dokończenie na str. 2

NOWY SAD CHCE BYĆ NOWY

Korespondencja własna z Jugosławii

Sa miasta, które się lubi za-
nim się je pozna. Dla mnie
takim miastem był Novi
Sad. Znałem go od lat z
sympatycznego sygnału ra-
diowego, i swojsko brzmiącej na-
zwą*).

W Nowym Sadzie byłem dwa ra-
zy. W sumie zbyt krótko, by zgłębić
tajniki życia społeczności stolicy
Vojvodiny**. Zarazem dostatecznie
długo, by poznać czolowe problemy
naddunajskiego grodu.

Vojvodińska metropolia, wbrew
swej nazwie, jest stara. Ogięś cen-
trum słynące z żyzności rolniczej
krajiny, w czasie ostatniej wojny
włączony przez faszystowski reżim
Horthy'ego w granice Węgier, Nowy
Sad przeżywa obecnie okres dyna-
micznego rozwoju. Liczba mieszkań-
ców wzrosła z 65 do 150 tysięcy,
wzniesiono nowe lub rozbudowano
stare zakłady przemysłowe (maszy-
nowe, chemiczne, tekstylne, meblar-
skie, rolno-spożywcze), o miasto za-
hacza też szeroka fala turystów, zdą-
żających z północy Europy do Bel-
gradu lub dalej na południe.

„Pobeda” — ta nazwa znana jest
także w Polsce; to marka nowosad-
kich maszyn do czyszczenia odzieży.
„Idol” — świeżo oddany do użytku,
latem ubiegłego roku, zakład che-
miczny; na uroczystości otwarcia
obecny był ambasador PRL, jako że
fabrykę wyposażono częściowo w
polskie urządzenia. Konkurs na pro-
jekt gmachu teatralnego w Nowym
Sadzie wygrali nasi architekci z
Wrocławia.

Wiedzi polsko-jugosłowiańskie są
mocne, rozliczne i tradycyjne. Moż-
na się z nimi zetknąć — także w
Nowym Sadzie. Dyrektor Pracowni
Urbanistycznej, inż. arch. Miłosz
Savič, z którym właśnie rozmawiam,
zna doskonale inż. Alfreda Ciborow-
skiego, naczelnego architekta War-
szawy, koordynującego do niedawna
odbudowę Skopje.

Inżynier Savič jest jednym z
moich rozmówców; drugi to wice-
przewodniczący Miejskiej Rady Na-
rodowej, inż. Lajos Lajko. Obaj
uzupełniają katalog moich wiadomo-
ści o mieście. Inżynier Lajko jest
Węgrem. Mniej więcej czwarta
część mieszkańców Nowego Sadu
jest tej narodowości, około 15 pro-
cent stanowią drobne mniejszości ze
Słowakami na czele, większość
miejscowej społeczności stanowią
naturalnie Serbowie.

Nowy Sad nie został dotknięty zni-
szczeniami wojennymi. Partyzan-
ckie oddziały wyzwoliły miasto 23
września 1944 roku; taka nazwa no-
si najokazalszą, nowo zaprojektowa-
ną arteria nowosadzką.

Pytam o węzłowe problemy, sta-
nowiace przedmiot troski władz
miejskich.

*) Novi Sad znaczy rzeczywiście Nowy
Sad.

**) Autonomiczny obwód w Republice
Serbskiej.

Okres powojenny: spontaniczny na-
pyw ludności do Vojvodiny, w tym
— głównie do Nowego Sadu, z ubo-
gich, nieuprzemysłowionych wów-
czas okolic kraju — Kosmetu i Bo-
śni. Okres po roku 1955: dopiero
wtedy energicznie przystąpiono do
rozwiązywania komunalnych kłopot-
ów miasta. A były one nadto do-
brze nam znane: woda — kanaliza-
cja — komunikacja — mieszkania.
Nowy Sad nie był zniszczony, ale



Na pierwszym planie dzielnica mieszkaniowa „Liman”, w głębi Uniwersytet.

w ocenie architektów niejakiem wa-
rtości reprezentowało jedynie wielko-
mięjskie centrum; reszta, to były
dzielnice o obliczu klasycznie ma-
lo-miasteczkowym, jeśli nie wiejs-
kim. Urządzeniami wodociągowo-
kanalizacyjnymi dysponowało jedyn-
ie śródmieście. Sieć tramwajowa
była wątpliwa.

Kierowana przez dyr. Savič'a pra-
cownia urbanistyczna przygotowała
generalny plan rekonstrukcji miasta.
Gotowy w roku 1963, konsultowany
z ludnością, właśnie wchodzi w okres
pierwszej korektury, przewidzianej
w odstępach pięcioletnich.

— Z wodą, kanalizacją i komunika-
cją na ogół uporaliśmy się — mówi
inżynier Lajko.

— Tramwaje zastąpiliśmy autobu-
sami, naturalnie odpowiednio rozbu-
dowując sieć komunikacyjną. Ale
zdecydowaliśmy się przestawić w
przyszłości na trolejbusy — uzupeł-
nia dyrektor Savič. — Głównym pro-
blemem pozostaje budownictwo mie-
szkaniowe, realizowane już jednak
zgodnie z założeniami rekonstrukcji
Nowego Sadu.

Oglądam na kolorowych planszach
syntezę tego, co widziałem w ciągu
wielogodzinnych wędrówek ulicami
miasta. Nowa koncepcja zbliża stoli-
cę Vojvodiny do Dunaju, od którego
przedtem odgradzała ją bariera dzieł

nicy przemysłowej. Rekonstrukcję za-
częto więc od przerzucenia linii kole-
jowej nad rzeki — w pobliże nowo
zbudowanego kanału Cisa — Dunaj,
poza obręb gęstej zabudowy. Nowe
zakłady przemysłowe mogą powsta-
wać tylko w wyznaczonych, na ten
cel kwartałach miasta, stare — mają
wyznaczony czas na translokację.

Dawny dworzec tkwi w centrum
miasta — martwy, zanim padnie ofia-
rą robót rozbiórkowych, przebiega-
jących w Nowym Sadzie dość żywo.
Nowa stacja kolejowa prezentuje się
przyjemnie, choć widnieje w tej chwi-
li samotnie, wciąż jeszcze z dala od
rozbudowywanych w jej stronę osie-
dli mieszkaniowych. Głównymi arte-
riami stają się — wytyczone w po-
przek niskiej zabudowy — potężne
Bulevar Marsala Tito i Bulevar 23
Octobra. Pierwsza ulica biegnie od
mostu na Dunaju do śródmieścia,
druga — od dworca do miasteczka
uniwersyteckiego. Spotykają się w
centrum. Bulevar 23 Octobra ma w
tej chwili dwa człony: pośrodku prze-
rywa go stara zabudowa, miastu

brak pełni środków na nieprzerwane
prace wyburzeniowe. Ale dotychcza-
sowe dokonania budzą szacunek.

Plan rekonstrukcji Nowego Sadu,
obejmujący okres do roku 1990, prze-
widuje zwiększenie ludności miasta
o dalsze 100 tysięcy. Na lewym brze-
gu Dunaju, gdzie do tej pory, obok
okazalej Petrovaradińskiej Twierdzy
(twierdzy), znajduje się niewielka
część zabudowy, zamieszka co naj-
mniej 12 tysięcy ludzi. Kto wie zresz-
tą, czy Nowy Sad nie stanie się waż-
nym ośrodkiem przemysłu petroche-
micznego. W rolniczej Vojvodinie od
kryto złoża ropy naftowej, pierwsza
nowosadzka rafineria jest właśnie w
budowie...

O szybkim tempie rozwoju miasta
mówi także to, że w okresie od roku
1960 liczba samochodów wzrosła tu
sześciokrotnie. Obecnie już połowa
izb mieszkanych Nowego Sadu po-
chodzi z budownictwa powojennego.
Chociaż — dokonując porównań z
Poznańm — buduje się tu dokład-
nie 50 procent tego, co u nas.

Można pozazdrościć Nowemu Sa-
dowi zwartego kompleksu zabudo-
wań uniwersyteckich. Nowy most
drogowo-kolejowy, rozpięty nad szer-
okim Dunajem, nowe rejonu miesz-
kalne, takie jak Liman, z którego
wieżowców rozciąga się widok na
Twierdzę, wytrzymałość, z jaką reali-
zuje się etapy rekonstrukcji miasta
— wszystko to jedna sympatię przy-
bysza dla wysiłków nowosadzkiej
społeczności.

Należałoby jednak rozważyć,
czy objęcie wyższym wykształceniem
jeszcze szerszych kręgów młodzieży
byłoby na dłuższą metę ekonomicznie
korzystniejsze (milibyśmy więcej ludzi
z wysokimi kw. „fikacjami” niż zatrud-
nianie tej młodzieży zaraz po szkole
średniej). „Bardziej dyskusyjna jest SPRAWA
OBNIŻENIA GRANIC WIEKU EMERY-
TALNEGO — stwierdza Szynder-Głow-
acki. — Niektórzy działacze gospodar-
czy przewidują, iż w najbliższym pięcio-
leciu będzie nas stać na obniżeniu tych
granic o 5 lat. Ale nie jest to takie
oczywiste wobec faktu, iż przeciętna
długość życia ludzkiego znacznie się
wydłuża i coraz większą część ludzi na-
wet w obecnym wieku emerytalnym jest
jeszcze w pełni sprawna zawodowo.
Wbrew pozorom chodzi tu nie tyle o
interes gospodarki (choć doświadczono i
w pełni sprawne kadry są dla niej chy-
ba cenniejsze od „młodego” narybku),
co właśnie o interes emerytów. Okazu-
je się bowiem, iż przejście w pełni sił
na emeryturę tak bardzo przyspiesza
proces zniedołężnienia, do tego stopnia
pozbawia sensu życia — iż... śmier-
telność zaraz po przejściu na emerytu-
rę jest znacznie wyższa niż to wynika
z naturalnego procesu starzenia się. Za-
czyna sobie zdawać z tego sprawę co-
raz więcej ludzi w starszym wieku i
choć na razie jeszcze w mniemaniu
większości obniżenie wieku emerytalne-
go uchodziłoby u nas za zdobywcę spo-
łeczna — sprawa nie jest taka prosta.
I chyba nie należy się spieszyć z po-
dejściem do decyzji, które mogą się
okazać pochopne”.

Za dyskusyjną autor uważa także
sprawę stopnia aktywizacji zawodowej

Młódzież USA

Kolejny film Antonioniego

Michelangelo Antonioni rozpoczął pracę nad nowym filmem „Powiększenie”, poświęconym młodzieży amerykańskiej.

— Zgodzę się na realizację tego filmu tylko wówczas, gdy będę miał zagwaran-
towaną w USA pełną swobodę działania — tak rozpoczął Antonioni swój wy-
wiad dla włoskiej gazety „Paese Sera”.

Zdjęcia wykonywane będą na pustyni w Arizonie. Powinno zacząć je 6
kwietnia, ponieważ później upały stają się tam nie do zniesienia. Filmować be-
dziemy w „Dolinie śmierci”, w której po dziś dzień natknąć się można na ludzkie
szkielety, w okolicy gdzie znajdują się nieczynne kopalnie srebra.

Pustynia będzie jednak tylko tłem. Interesują mnie przede wszystkim proble-
my, którymi żyją dzisiejsze Stany Zjednoczone, rozdzielane gwałtownymi sprzecz-
nościami. Na tle tych wydarzeń rozgrywać się będzie historia dwóch młodych
ludzi — bohaterów filmu.

Młódzież amerykańska — kontynuuje reżyser — to jedna z najciekawszych
„sfer obserwacji” w tym kraju, gdzie zachodzą obecnie tak znamienne wydarze-
nia. Można tam zaobserwować zjawiska niesłychane, wręcz niewiarygodne, jeśli,
oczywiście, obserwator nie prześlizgnie się po powierzchni a stara się spojrzeć
w głąb.

Poznanie życia dzisiejszej młodzieży USA — mówi Antonioni — nie jest
łatwe. Niedawno poznałem chłopca, który pracuje w fabryce aparatury elektro-
nicznej. Zamierza porzucić swą pracę, nie chce stać się częścią istniejącego
społeczeństwa, panującego systemu.

Młódzież ta zdecydowana jest obalić obecny porządek. Nie wiem co nastąpi
w przyszłości, nie jestem ani prorokiem, ani socjologiem czy psychologiem. Pro-
blemy, którymi żyje dzisiejsza Ameryka są mi jednak bliskie i postaram się
przedstawić je w filmie.

Jestem przekonany, że będzie to trudne zadanie. W Ameryce pracują bez trud-
ności tylko ci zagraniczni reżyserzy, którzy podporządkowują się istniejącym
warunkom. Nie mogę jeszcze powiedzieć, kto wystąpi w filmie. Wyjaśni się to
dopiero wówczas, gdy gotów będzie scenariusz, a ja przystąpię do zdjęć próbnych.

PAP

Sen o miłości

Dokończenie ze str. 1

wrzące jak wulkan niszczycielski. Unosi-
łem głowę, opadła mi na śnieg, śnieg
topniał przy moim policzku, cucił mnie,
mówił do mnie szeptem skrzypiącem:
„nie wolno było jej zostawić, wolno było
rozdzielić się z kimkolwiek, nie wolno by-
ło z Martą”. Nie mogłem wrócić do piw-
nicy. Leżałem w martwym polu. Kula
mnie nie dosięgnie. Nad drogą czarny
dym. Płonął samochód pancerny Niem-
ców. Jeszcze pojedyncze strzały i nad go-
rami znów rozpostarła się mglista, zi-
mowa cisza. Słyszac unoszące się nad
drogą nawoływania, chrzęst powolnych
kroków — miałem wrażenie, że coś się
tu jeszcze będzie działo, ale śmiertelna
cisza, podsywająca się pod spokój gór,
ich biel, oznaczała kapitulację obu wal-
czących stron, niesamowicie spokojna w
bliskości śmierci. Marta wybiegła mi na
spotkanie, za nią szedł major Dąb. Wsta-
łem. Patrzyliśmy na siebie. Byłem cały
biały od śniegu.

— Jak ty wyglądasz?

— Jak bałwan.

— Nie. Jak archanioł prosto z nieba.

— Nie. W niebie nie byłem. To nie był
też ani zycieć ani piekło. To był sen o
miłości.

Na drodze leżały trupy tych, którzy się
odwagili, którzy próbowali dotrzeć do ja-
kiegós celu. Nad dymiącym wozem pan-
cernym sterczało zwęglone ciało Niem-
ca, trzymane w kleszczach żelaza. Sa-
mochód otoczyli partyzanci. Znalazłem
się znowu w polu, zajęty przez ludzi o-
garniętych szokiem bitwy. Milczenie prze-
szło powoli w nerwową, podnieconą
gwar, w relację, w pochwoły, w samo-
chwałstwo — dopielniał się sen o zwy-
ciństwie.

Usiadłem na pryczy i przyglądałem
się skurczonej, szarej sierści kota, który
wydostał się na pole i przeciskał się
między nogami żołnierzy, na przekór
tym, którzy wchodził do schronu, zgar-
bieni pod ciężarem znużenia i automa-
tów. Nie przyglądałem się ich twarzom,

nie chciałem, żeby mieli radosne twa-
rze. Siedziałem zapatrzonej w Martę. Roz-
pytywałem obecnych, kto napije się herba-
ty gorącej. Na piecyku żelaznym gotowa-
ła się woda.

Nie wierzyłem. Marta się uśmiechała.
Nie miała swojej twarzy. To nie była
Marta, którą zostawiłem w piwnicy
przed pół godziną. Wstałem i zrobiłem
już krok, aby wyjść, gdy ona powiedzia-
ła ostro, głosem rozkazującym:

— Dokąd? Zostań!

Cofnąłem się, ale nie spuszczałem
wzroku z twarzy Marty. Ona też mi nie
wierzyła. Musiała znowu liczyć tylko sa-
ma na siebie. W walce. Nikt nikomu nie
może wierzyć na świecie.

Wtedy major Dąb krzyknął:

— Spokój! Cisza!

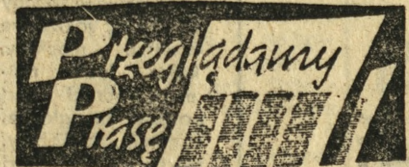
Chwilę zastanawiał się nad tym, co
miał powiedzieć. Czekalem z napięciem,
domyślałem się, że pierwsze słowa skie-
ruje do mnie i udzieli mi nagany za brak
ostrożności, za lekkomyślność. On, kie-
dy patrzył na mnie, musiał jednak my-
śleć o granicach ludzkiej odporności. Po-
znałem po jego oczach. Jego i mnie tra-
piły przeróżne uderki, wiedzieliśmy prze-
cież coś niecoś o sobie, ale byliśmy za-
hartowani, nie oczekujący litości, która
przysłała rzeczywistość.

— Byliśmy blisko kłeski. Musieliśmy
wprost z marszu przejść do natarcia.
Niemcy zobaczyli Pawła. Skierowali cały
swoją ogień na zgłiszczą domu, przekona-
ni, że to my tam jesteśmy. Mogliśmy sku-
tecznie zaatakować ich z flanki, pozo-
rując równocześnie nasze stanowiska w
bliskości resztek tego domu.

Miałem spieczoną wargi. Marta miała
błyszczące oczy.

To nie był sen.

GERARD GÓRNICKI



Prognozy demograficzne już od dłuż-
szego czasu budzą u nas szerokie za-
interesowanie społeczne. Jeszcze je-
stemy w fazie wyżu demograficznego
ludzi młodych, a już się mówi o nad-
chodzącym wyżu demograficznym lud-
zi do 60 roku życia. Następują przy tym
stałe zmiany ludnościowe. Analiza tych
spraw jest potrzebna z dwóch co naj-
mniej względów: po pierwsze — pro-
gramy przyszłej produkcji i konsumpc-
cji muszą wynikać z tego, ilu i jakich
będziemy mieli producentów i konsu-
mentów; po drugie — zmiany ludno-
ściowe zależą od tego, w jakim kierun-
ku na nie się oddziaływa.

Wychodząc z tych założeń Wiesław
Szynder-Głowacki analizuje w „Życiu
Gospodarczym” niektóre zależności mię-
dzy spodziewanymi zmianami ludno-
ściowymi a potrzebami rozwoju społecz-
no-gospodarczego kraju. Jego publi-
kacja pt.

DEMOGRAFICZNE DYLEMATY

sygnalizuje również kilka spośród waż-

*

Poza tym: „Polityka” przynosi reportaż
Agnieszki Wróblewskiej z kombinatu
PGR w Manieczkach („Telefony nie
skutkują”). „Motor” artykułem Stani-
sława Gduli proponuje nowy system re-
jestracji pojazdów samochodowych (cho-
dzi o tablice rejestracyjne).

LEKTOR